

BEZ CIEBIE, MÓJ DROGI, BYŁBYM ZDECHŁ – JAK ŚWINIA!

**Tak brzmiały jedne z ostatnich słów, jakie wypowiedział przed śmiercią
najwybitniejszy polski muzyk – Fryderyk Chopin.**

Obecna niedziela jest dniem najlepszym na refleksję o wielkim pianiście. Właśnie teraz cały muzyczny świat czeka na finał i ogłoszenie zwycięzcy oraz laureatów trwającego jeszcze w Warszawie słynnego, już XVIII edycji, Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego imienia Fryderyka Chopina. Dzisiaj natomiast, czyli 17 października, przypada kolejna, dokładnie 172 rocznica śmierci geniusza fortepianu.

Na wstępie muszę przyznać, że od lat Chopin jest mi szczególnie bliski, i to wcale nie tylko dlatego, że urodziliśmy się tego samego dnia, czyli 1 marca. Mam nadzieję, że po lekturze tego artykułu również Wam, Drodzy Czytelnicy, ta wybitna postać stanie się bliższa. Chopin został moją bratnią duszą, kiedy przeczytałem pewien list księdza Aleksandra Jełowickiego. Był to kapłan, który swoim bogatym życiorysem mógłby obdarzyć wielu z nas. Patriotą, działacz niepodległościowy, powstaniec listopadowy, poseł na sejm, także emigracyjny działacz i wydawca, pisarz, poeta i tłumacz, wreszcie ksiądz i zakonnik ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców oraz duszpasterz wielkiej polskiej emigracji we Francji. Później jego posługę wśród francuskiej Polonii kontynuowali polscy oblaci. Ksiądz Aleksander był też rodzonym bratem Edmunda Jełowickiego – jednego z serdecznych przyjaciół wielkiego pianisty. Nie sposób nie dać wiary jego słowom, skoro to właśnie u niego Fryderyk odbył spowiedź generalną i to on był obecny przy jego długim konaniu i narodzinach dla nieba.

Ksiądz Aleksander wspomniany wyżej list adresuje do księżnej Ksawery Grocholskiej. Prywatna korespondencja wybitnego Polaka do wielkiej filantropki i przyszłej karmelitanki mogła nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Na szczęście i ku zbudowaniu wiernych chrześcijan trafiła ostatecznie do rąk czytelników. Szczerze polecam lekturę słynnego listu tym wszystkim, którzy mają już dosyć niedbałego języka korespondencji, jaką znajdujemy w skrzynkach mailowych czy w różnych telefonicznych komunikatorach. Piękną polszczyznę listu księdza Jełowickiego, datowanym dnia 21 października 1849 roku, można się naprawdę zachwycić, natomiast jego treścią – wiarygodną i najważniejszą relacją z ostatnich chwil życia wielkiego kompozytora zostaniemy wstrząśnięci do głębi. Znajdziemy tam świadectwo heroicznego zmagania o jego wiarę i końcowe nawrócenie. W przekazie mainstreamowych mediów niestety nie często usłyszymy o tej przedśmiertnej i Bożej przemianie artysty. Wielka to szkoda! Mam nadzieję, że niniejszy artykuł chociaż trochę uzupełni ten znaczący brak w portrecie Chopina. Przecież mówi się, że to koniec wieńczy dzieło. A właśnie sam Pan Bóg sprawił, że burzliwe i krótkie, bo zaledwie 39-letnie życie Fryderyka zakończyło się nad wyraz pięknie. Tym bardziej, że zgoła nic nie zdawało się tego wcześniej zwiastować.

Zawód publiczny skończony! Od tej pory będę grał hymny na cześć Królowej Korony Polskiej – tak napisał Chopin po ostatnim publicznym wystąpieniu, niedocenionym przez publiczność, w Londynie. Wiedział, że jego ziemskie życie się kończy. Przeczuwał swoją rychłą śmierć, którą zapowiadała zaawansowana choroba gruźlicza. Jednak do ostatecznego pojednania z Bogiem pozostawała jeszcze długa droga. Od prostych Bożych dróg pianista oddalił się bardzo w

czasie emigracji i życia, które wiódł na salonach Francji. Do czasu powstania listopadowego artysta otrzymał w Polsce od swoich rodziców solidne katolickie wychowanie. Może to właśnie ono zaowocowało jego ostatecznym nawróceniem? Z całą pewnością rezonowało w jego wycieńczonym sercu. Ksiądz Jełowicki wspomina, że owa *pobożność, którą z łona matki Polki był wyssał, była mu już tylko rodzinnym wspomnieniem. A bezbożność towarzyszków i towarzyszek jego lat ostatnich wsiąkała coraz bardziej w chwytny umysł jego i na duszy jego jak chmurą ołowianą osiadła zwątpieniem. I tylko już mocą wykwintnej przyzwoitości jego się stawało, że się nie naśmiewał głośno z rzeczy świętych, że jeszcze nie szydził*. O tym, jak bardzo Fryderyk zagubił się w wierze świadczy wyznanie artysty: *nie chciałbym umrzeć bez Sakramentów, aby nie zasmucić Matki mej ukochanej; ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu*. Słowa te skierowane były do księdza Aleksandra. Żarliwa modlitwa w intencji artysty, jaką duszpasterz emigracji zanosił do Boga razem ze współbraćmi w czasie zakonnych rekolekcji przyniosła z czasem owoce. Dlatego też Chopin zapytany na łożu śmierci przez księdza Jełowickiego: *Czy wierzysz?* mógł już tylko odpowiedzieć: *Wierzę*. Pytany dalej: *Jak cię matka nauczyła?* odpowiedział: *Jak mię nauczyła matka!*

Co oni tutaj robią, czemu się nie modlą? – zapytał w agonii księdza Aleksandra, kiedy jego dusza, już po spowiedzi, była na nowo przy Bogu. Pytanie konającego artysty sprawiło, że na wezwania Litanii do Wszystkich Świętych, którą odmawiano przy umierającym, odpowiadali nawet protestanci. Mimo wielkiego cierpienia był teraz zdolny do tego, żeby pocieszać najbliższych słowami: *Kocham Boga i ludzi!... Dobrze mi, że tak umieram... Siostró moja kochana, nie płacz. Nie płaczcie, przyjaciele moi. Jam szczęśliwy! Czuję, że umieram. Módlcie się za mną! Do widzenia w Niebie*. Natomiast do lekarzy, którzy na próżno starali się przedłużyć jego wątłe życie mówił: *Puśćcie mię, niech umrę. Już mi Bóg przebaczył, już mię woła do siebie! Puśćcie mię; chcę umrzeć!*

Wreszcie Fryderyk Chopin, ten, który zawsze był wykwintny w słowach, nie zawahał się wypowiedzieć w krytycznej chwili życia bardzo dobitnego zdania: *Bez Ciebie, mój drogi, byłbym zdechł – jak świnia!* Po co ten dosadny język? Ażeby podziękować przyjacielowi za pomoc w pojednaniu z Bogiem i wyrazić przestrożę dla tych, co bez sakramentów świętych umierają – konstatuje ksiądz Jełowicki. I nie sposób się z nim nie zgodzić. Kapłan swój list kończy stwierdzeniem, że to właśnie *Tak umarł Chopin!* i zaraz prosi w liście: *Módlcie się za nim, ażeby żył wiecznie*. Osobiście wierzę, że już żyje wiecznie, ale mimo wszystko dzisiaj i ja pomodłę się za spokój jego pięknej duszy. W modlitwie tej jednak chyba jeszcze bardziej pochwalę Pana Boga za muzyczny geniusz, jakim obdarzył Fryderyka. Wierzę ponadto, że dane mi będzie jeszcze usłyszeć na żywo Chopina, który wygrywa na fortepianie wszystkie etudy, walce, fantazje, czy tak bardzo polskie polonezy, mazurki, nokturny, a także całe koncerty. Przecież powiedział: *Do widzenia w Niebie*. Postawił ostatecznie wszystko na Jezusa Chrystusa i nie ma opcji, żeby nie wygrał. Żyje na nowo, w Bogu, już zdrowy, w pełni sił i z umysłem nie zmańczonym grzechem. Komponuje znów i gra w niebie jeszcze doskonale, niż miało to miejsce na ziemi!

Czy zastanawialiście się kiedyś, jaka po drugiej stronie życia musi być piękna muzyka?! Skoro być może tam, na tej jednej wielkiej wieczystej Eucharystii, do organów zasiada właśnie Fryderyk Chopin! Bo przecież grał na kościelnych organach, nie tylko za młodu w Warszawie, ale

miało to też mieć miejsce między innymi w katedrze w Marsylii, gdzie do jednej Mszy Świętej akompaniował ponoć założycielowi Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej – świętemu Eugeniuszowi de Mazenodowi. Niewykluczone, że w niebie od niedawna psalmy śpiewa już Krzysztof Krawczyk, bo przecież wiele razy pięknie śpiewał psalmy responsoryjne w swoim parafialnym i oblackim kościele w Grotnikach. Ta muzyczna spekulacja na temat nieba, którą teraz kreślę nie jest żadnym dogmatem wiary ani oficjalną wykładnią Kościoła na temat wieczności. Jest tylko moją osobistą nadzieją i marzeniem o tej wielkiej rzeczywistości, która chociaż już zapoczątkowana, to jednak ma się dopiero w pełni wydarzyć. Wierzę, że w Królestwie Niebieskim musi grać najpotężniejsza w dziejach stworzenia orkiestra symfoniczna, w której za instrumenty smyczkowe odpowiedzialny jest zapewne ksiądz Antonio Vivaldi. Bo maestro Vivaldi był przede wszystkim i do końca życia księdzem. Dziwnym co prawda, i to wcale nie dlatego, że rudowłosym. Potrafił bowiem porzucić ołtarz i pobiec do zakrystii, żeby zapisać nuty, bo podobno najlepsze inspiracje miewał właśnie w czasie celebrowania Eucharystii. Marzy mi się niebo, w którym za sekcję dętą odpowiada największy mistrz trąbki, a więc sam Georg Friedrich Händel. Bo czyż na wieczystych godach Baranka może zabraknąć oratorium *Mesjasz*, a wraz z nim słynnego *Alleluja*?! Tam przy wtórze trąb dobitnie wybrzmiewa najpiękniejsze zapewnienie o tym, że *Chrystus włada światem teraz i wiecznie! Królów Król i panów Pan!* Jest tam też z całą pewnością miejsca dla Ludwiga van Beethovena, który przed śmiercią wykrzyknął z utęsknieniem: *W niebie będę znowu słyszał!* Ogluchł, jak twierdził, dlatego, że Pan Bóg, który zazwyczaj ludziom jedynie szepcze, jemu samemu zaś krzyczał do ucha. Co też on musi w niebie teraz komponować, skoro będąc głuchym jak pień potrafił napisać swoją największą IX symfonię, która zawiera wiekopomną *Ode do radości*?! Tam, u góry, ma do swojej dyspozycji chór o całe niebo (sic!) lepszy od tego w Wiedniu, bo wzmocniony o głosy wszystkich anielskich zastępów. Jest tam z pewnością maestro polifonii – Giovanni Pierluigi da Palestrina, wreszcie radosny, rezolutny i lekki Wolfgang Amadeusz Mozart, czy chociażby twórca i wielki dyrygent światowej sławy chóru Poznańskie Słowiki – druh Stefan Stuligrosz. Ten sławny Wielkopolanin, urodzony tego samego roku co Jan Paweł II, zbierając już zasłużone laury światowego uznania za monumentalny dorobek artystyczny zwykł żartować, że w nocy przyszedł do niego archanioł Gabriel i przekazał mu dwie wiadomości: jedną dobrą, drugą złą. Ta pierwsza oznajmiała, że Pan Bóg w uznaniu zasług mianował go dyrygentem chórów archanielskich, które są najbliżej Bożego tronu, a druga zapowiadała pierwszą próbę już dzisiaj, w samo południe. Stąd nieprzypadkowo odszedł do wieczności dokładnie o godzinie 11:45, 15 czerwca 2012 roku. Zdażył zatem na próbę! Do takiego nieba mnie ciągnie i za takim tęsknię! Parafrazując słowa świętego Pawła z I Listu do Koryntian możemy się tylko domyślać, że tej wielkiej muzycznej uczty w Królestwie Bożym żadne ludzkie serce nie zdoła w pełni sobie wyobrazić ani pojąć, bo jej przecież jeszcze ani nasze oko nie widziało, ani też ucho nie słyszało. Duch jednak objawia, że gody Baranka już się dzieją, chociaż wielki tryumf Jezusa Chrystusa dopiero przed nami! Każdemu z nas w niebie już przygotowano miejsce, co więcej podpisano je nawet z imienia i nazwiska. Od Ciebie teraz zależy, czy twoje własne miejsce będzie zajęte, czy też pozostanie pustym na całą wieczność.

Rodem Warszawianin, sercem Polak, a talentem – świata Obywatel, Fryderyk Chopin zszedł z tego świata – wieścił światu śmierć wirtuoza nekrolog opublikowany w paryskim „Dzienniku Polskim” i napisany ręką Cypriana Kamila Norwida. Również ten wieszcz towarzyszył Fryderykowi w jego narodzinach do wieczności. W poemacie „Fortepian Chopina” mówi przecież: *Byłem u Ciebie w dni te przedostatnie, Gdy podobniałeś — co chwila, co chwila —Do upuszczonej przez Orfeja*

liry. A właśnie twórczość Norwida szczególnie cenił Jan Paweł II. Czy papież Polak słuchał Chopina? Tego nie jesteśmy pewni. Mieli jednak ze sobą wiele wspólnego. Nie przypadkowe jest wreszcie także i to, że w polskich ekranizacjach biografii obydwu najbardziej znanych na świecie Polaków w ich role wcielił się ten sam aktor – Piotr Adamczyk. Ciało Fryderyka spoczęło wkrótce na najśłynniejszej paryskiej nekropolii Père-Lachaise, z pomnikiem nagrobnym od serdecznych przyjaciół, na którym marmurowa figura muzy Euterpe pochyla się nad złamaną lirą. **Zabierz moje serce do Polski** – usłyszała od ukochanego brata Ludwika Jędrzejowiczowa. Spełniła jego ostatnią wolę. Serce Chopina spoczęło w filarze kościoła Świętego Krzyża w Warszawie i od razu stało się narodową relikwią. Słowa Pana Jezusa z Ewangelii według świętego Mateusza: **Gdzie skarb twój, tam i serce twoje**, jakie zostały wyrzeźbione na epitafium stołecznego kościoła, przypominają nam o wielkiej miłości Fryderyka do ojczyzny. Bardzo pragnął wolności dla Polski! Zapewne nie przypuszczał, że to właśnie jego muzyka wywalczy niepodległość dla Rzeczypospolitej. Ignacy Jan Paderewski, późniejszy premier polskiego rządu, goszcząc w Białym Domu świadomie grał wyłącznie Chopina. To właśnie ta muzyka, tak głęboko przesiąknięta dramatem umęczonej Polski, najlepiej wyrazić mogła ogromne pragnienie wolności i krzyk o prawo do samostanowienia polskiego narodu. Pośród tysięcy języków, jakimi włada ludzkość, jest też przecież język muzyki. Jeden jedyny, który potrafi zrozumieć każdy człowiek, niezależnie od narodowości, kultury czy epoki. Muzyka bowiem łączy nie tylko ludzi, ale również czas i pokolenia, a także ziemię z niebem. Dobitym tego przykładem jest muzyczna spuścizna Fryderyka Chopina. Niewątpliwie potrafi ona wyrazić to wszystko, czego ograniczone słowa nie są w stanie wypowiedzieć. To właśnie za jej sprawą, a dokładniej dzięki chopinowskim recitalom, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki – Thomas Woodrow Wilson nie tylko zaprzyjaźnił się z wybitnym pianistą i politykiem – Ignacym Paderewskim, ale pod jej wpływem stał się także wielkim orędownikiem sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Zrozumiał w pełni słowa Ferenc Liszta, węgierskiego wirtuoza fortepianu, który powiedział o Fryderyku, że ten **unieśmiertelnił w swoich dziełach Polskę**. Dzięki muzyce Chopina prezydent Wilson zagłębił się w tragedię zniewolonego narodu. Dlatego też w konsekwencji domagał się od świata tego, co mógł odczytać w nutach geniusza, a więc utworzenia suwerennego państwa polskiego. 8 stycznia 1918 roku w czasie orędzia w Kongresie postulował **Stworzenie niepodległego państwa polskiego na terytoriach zamieszkałych przez ludność bezsprzecznie polską, z wolnym dostępem do morza, niepodległością polityczną, gospodarczą, integralność terytoriów tego państwa powinna być zagwarantowana przez konwencję międzynarodową**. Właśnie tego dokładnie zażądał prezydent światowego mocarstwa w całym trzynastym spośród czternastu postulatów programu, jaki zaproponował celem zaprowadzenia pokoju i stabilizacji politycznej w Europie po dramacie I wojny światowej. Postulat Wilsona został zrealizowany już 11 listopada 1918 roku.

Marzenie Chopina o wolnej ojczyźnie ziściło się! Polska stała się na powrót niepodległa. Udręczone niewolą i emigracją serce Fryderyka może być już wreszcie spokojne. Niech dobry Bóg sprawi, żebyśmy także i my potrafili kochać ten dar wolności, a przez miłość ziemskiej ojczyzny umieli też marzyć o tej niebieskiej i z biegiem lat coraz bardziej za nią tęsknili. Bo chociaż żyjemy w świecie, to wcale do niego nie należymy. Jako wierzący w Chrystusa ciągle pozostajemy zesłańcami i jeszcze wcale nie jesteśmy w domu!!!



O. Adrian Wojciech Kotlarski OMI. Ur. 1.03.1990 r. w Wolsztynie. Absolwent Niższego Seminarium Duchownego OMI w Markowicach. Śluby zakonne złożył w 2010 r. na Świętym Krzyżu. Studia filozoficzno-teologiczne zrealizował w Wyższym Seminarium Duchownym OMI w Obrze oraz na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Po ślubach wieczystych odbył dwuroczny staż misyjno-pastoralny na Ukrainie. Po święceniach prezbiteratu w 2018 r. przez dwa lata pełnił posługę wikariusza we Wrocławiu-Popowicach. Obecnie doktorant na drugim roku specjalizacji w zakresie teologii dogmatycznej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II oraz duszpasterz pielgrzymów w sanktuarium maryjnym w Kodniu nad Bugiem. Prywatnie pasjonat jazdy konnej, podróży oraz muzyki klasycznej. Mieszka w obłackim domu zakonnym w Kodniu.











